POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE (in U.S.A. and Canada 5c.)

Wychodzi co tydzień — *Dnia 21-go września 1946 r* — **Rok VIII. Nr. 38**

LAT TEMU 150

Sto pięćdziesiąt lat temu, jesienią 1796, zjawiła się, na szlaku dziejów, klęsk i wysiłków zagrożonego w swym bycie państwa polskiego, myśl i zawiązek Legionów Polskich.

Rok 1795 zaciężył nad losami Polski układami rozbiorczymi, przeprowadzonymi od stycznia do października, wraz ze zmuszeniem króla do podpisania 25 listopada zrzeczenia się władzy. Osobliwym upamiętnieniem 150-ej rocznicy tej największej zbrodni europejskiej, jak odczuli to już współcześni w całym świecie i nazwali to przodownicy dziejopisarstwa światowego, było rozporządzenie się obce i bezprawne w r. 1945, w układach krymskich, obszarem i niepodległością Polski, z pominięciem jej prawa państwowego i jej władz prawowitych, z oddaniem jej pod wolę najeźdźcy i t.zw. uznaniem narzuconego jej ustroju i rządu. Lecz zrzeczenia się jakiegokolwiek ze strony prawnych władz Polski nie uzyskano w r. 1945.

Jesienią 1796, jenerał Jan Henryk Dąbrowski, ujmując w twór żywy pierwsze zabiegi przygotowawcze na gruncie północno-włoskim i rozprószone gdzie indziej, porozumiał się z władzami francuskimi w Paryżu i z opartym o nie rządem lombardzkim w Mediolanie w sprawie powołania Legionów Polskich. Robota szła sprawnie. Wiosną 1797 było pod bronią 6 tysięcy a jesienią 7½ tysiąca żołnierza, napływającego z kraju lub przechodzącego z szeregów zaborczych, w dwu legionach początkowo samej piechoty z działami.

Rozpoczęła się wówczas, w tej sile zbrojnej polskiej za granicą i zarazem w losach sprawy polskiej w ogóle, owa chwiejna gra zwyżek i zniżek, zależnie od biegu zdarzeń politycznych w Europie.

Po rozejmie w Loeben, w kwietniu 1797, pogotowie Legionów Polskich jest utrzymane i wzrost ich dobrze widziany. Trudności zgęszczają się po układzie pokojowym w Campo Formio w październiku 1797. Mimo to Legiony Polskie pozostają nadal na gruncie lombardzkiej Republiki Cisalpińskiej, z której rządem uzyskuje jenerał Dąbrowski, w listopadzie 1797, porozumienie wstępne, ustawodawczo niezatwierdzone, lecz przeprowadzone w rzeczywistości w tym duchu, że Legiony, jako wojsko pod bronią i ze sprzętem, biorące udział zbrojny w r. 1798 w przedsięwzięciach miejscowych tu i ówdzie, wzrastające w siły przez zdobycie koni i stworzenie brygady jazdy, oczekują możności powrotu do wolnej Polski.

Rzecz była w tym, iż Europa w owej dobie, wśród zawieranych rozejmów, rokowań i zjazdów, oraz podpisywanych układów pokojowych, daleka była od spokoju i nadziei czy też groźby ustalenia się wszystkiego, przez rozejście się po kościach, ku zadowoleniu łapczywych a niedoli ujarzmionych. Wobec tego kierownictwo polskie, z J. H. Dąbrowskim na czele, uważało za swe naczelne zadanie utrzymanie sił polskich w czynnym zespole, co doradzał również w r. 1798 uwolniony już z więzienia rosyjskiego Kościuszko, gdy na wieść o legionach wrócił z odwiedzin amerykańskich do Europy. A Francja, licząc się również z nowymi potrzebami mimo okresów pokojowych, rozumiała to i popierała.

Tworzeniu i rozwojowi tej polskiej siły zbrojnej na obczyźnie, które było zjawiskiem niezwykłym, przygrywały też pojęcia, hasła i oświadczenia szczególne a dostosowane do tego stanu rzeczy.

„*Będziecie w tym kraju uważani* — stwierdzały władze lombardzkie — *za braci a nie za obcych żołnierzy*". Zapewniono Polakom zarówno prawo obywatelstwa miejscowego, jak też prawo powrotu do kraju, gdy to będzie na czasie. „*Będziecie dzielili z nami pobyt w tym kraju* — mówiły władze lombardzkie — *aż do tej chwili szczęśliwej, gdy radośnie znowu ujrzycie swe rodziny i zwycięsko wskrzesicie swą ojczyznę*".

Przewidywania, że legiony należy utrzymać, także gdy walki ustały, okazały się słuszne.

Już w r. 1799 wybucha nowe starcie, z przewodnim teraz udziałem Rosji, zasilającej Austrię swymi wojskami pod jen. Suworowem w północnych Włoszech, gdzie brakło wówczas Napoleona, walczącego w Egipcie. Oba legiony, naprzód drugi pod Rymkiewiczem w bitwach nad Adygą, w marcu-kwietniu 1799, potem drugi pod Dąbrowskim w bitwie nad Trebią w czerwcu 1799, skrwawiły się ciężko, wychodząc z tych walk niemal w szczątkach. Właśnie rok 1799 pozostawił po sobie, w ówczesnym toku zdarzeń, przeświadczenie, że na Polaków można liczyć także wtedy, gdy jest ciężko i postawić ich tam, gdzie jest najciężej, a samym Legionom Polskim dodały te ofiary bodźca do dochowania wiary tym, którzy legli, wytrwaniem na szlaku służby w walce o wolność.

W r. 1800, wraz z powrotem Napoleona w końcu 1799 z Egiptu i objęciem przezeń władzy przez zamianę Dyrektoriatu na Konsulat, odbudowanie Legionów Polskich przenosi się z Włoch do Francji. Zakaz prawny utrzymywania przez Francję wojsk obcych, który poprzednio spowodował umiejscowienie zaciągu polskiego w Lombardii, został zniesiony. Na południu, jen. Dąbrowski, zaczynając od pozostałości swego legionu i resztki drugiego, która pod Aksamitowskim wyszła z Włoch do Lyonu, przystąpił w Marsylii do tworzenia nowego legionu, w którym zgromadził wkrótce 7 tysięcy ludzi. Na północy, jen. Kniaziewicz, w Kehl nad Renem, tworzył nowy legion, t.zw. naddunajski, wchodząc już z pierwszym 1½ tysiącem w walki w Niemczech z chlubnym udziałem polskim pod Hohenlinden. W końcu r. 1800 oba legiony, z 11 batalionami piechoty, pułkiem jazdy, batalionem artylerii pieszej i batalionem konnej, liczyły znowu 13 tysięcy żołnierza, zebranego już w samej Francji.

Okazało się, że droga z ziemi włoskiej do Polski, jak głosiła w chwili narodzin Legionów pieśń, która stać się miała nieśmiertelną, wiodła nie wprost, lecz przez ziemie macierzyste głównej sojuszniczki ówczesnej.

Rok 1801, w wahadle zwyżki i zniżki, strąca znowu losy sił zbrojnych polskich i sprawy polskiej w dół. Układ między Francją a Rosją i Austrią w Luneville, w lutym 1801, szedł ku utrwaleniu pokoju między Francją a Wielką Brytanią w marcu 1802 w Amiens. Legiony Polskie stały się niepotrzebne i zgoła kłopotliwe. Dawano im to odczuć teraz już trwale i twardo. Nie rzadko więc oficerowie, łamiąc szable, wychodzili ze służby, którą porzucali i żołnierze, nęceni tęsknotą do rodzin i do kraju, gdzie, powiadano, po śmierci nieobliczalnego w obłąkaniu cara Pawła życzliwość cara Aleksandra otwiera lepsze widoki. Napoleon zaś, pozbywając się Legionów Polskich z Francji, przekazał naprzód główne ich siły znowu do Włoch, częściowo do Toskanii a częściowo do Lombardii, niebawem zaś, w r. 1802, na walki przeciw powstaniu murzyńskiemu do San Domingo na zatratę za Oceanem.

Lecz koło dziejów, zwłaszcza w takiej dobie przełomów, toczy się wartko.

Nie upłynęły trzy lata, a Napoleon znalazł się w starciu z trójprzymierzem Austrii, Prus i Rosji, i pobił wojska austriackie pod Ulm a austriacko-rosyjskie pod Austerlitz w r. 1805, pruskie pod Jeną i Auerstaedtem w r. 1806, prusko-rosyjskie pod Friedlandem w r. 1807, a podejmując tę walkę przeciw trzem zaborcom Polski, od początku wysunął sprawę polską, nazywając zgoła wojnę tę — polską. Na razie, w ciągu r. 1805 i 1806, oficerowie polscy, którzy wyszli ze służby, zgłaszają się znowu pod sztandary francuskie; resztka legionów we Włoszech, pułk piechoty i pułk jazdy, bierze udział zaszczytnie w bitwie pod Castel Franco w końcu listopada 1805 w przeddzień Austerlitz; jen. Zajączek otrzymuje we wrześniu 1806 polecenie tworzenia nad Renem legionu jeszcze nie polskiego, bo to przed Jeną i przed pewnością poparcia Prus przez Rosję, lecz ostrożnie północnego. Po Jenie i Auerstaedt z 14 października 1806, Napoleon, nie usuwając połowiczności i niedociągnięć w wysuwaniu sprawy polskiej, wzmaga jednak znacznie wyrazistość; nie wystarcza ona przyzwanemu wówczas do cesarza Kościuszce, który odmawia, tworząc wzór polityki jasnych zobowiązań, nawet kosztem pomijania wielkich i zbawczych sposobności; natomiast Dąbrowski i Wybicki, nie uzyskując oświadczenia Napoleona wprost do Polski i o Polsce, zadowalają się wydaniem 4 listopada 1806 zatwierdzonej przez niego odezwy pióra Wybickiego z podpisem Dąbrowskiego o wskrzeszeniu sprawy Polski, na podstawie jednoczesnej umowy o tworzeniu siły zbrojnej 40-tysięcznej na ziemiach zaboru pruskiego. W listopadzie 1806 był Napoleon w Poznaniu, a w grudniu 1806 w Warszawie, gdzie 14 stycznia 1807 powołał zarząd polski z udziałem ks. Józefa Poniatowskiego, poczym zaciąg wojskowy objął wraz z ściągniętym do kraju legionem północnym i legionem polsko-włoskim, 50 tys. żołnierza, a siły polskie pod Dąbrowskim wzięły odrazu udział w działaniach pod Gdańskiem, w Prusiech Wschodnich i w bitwie pod Friedlandem 14 czerwca 1807.

Wynikiem było wskrzeszenie niepodległości polskiej w Księstwie Warszawskim, ułamkowym, z Warszawą i Poznaniem, a po powiększeniu w r. 1809 jednak niemal o ¼ większym od przyszłego Królestwa Kongresowego z r. 1815. Wojsko polskie, pod dowództwem naczelnym księcia Józefa Poniatowskiego, wzrosło z czasem ponad 60 tys. W r. 1808 oddział polski 8-tysięczny uczestniczy w walkach w Hiszpanii i w dzieje oręża polskiego wpisuje się imię Somo-Sierry. W wojnie przeciw Austrii w r. 1809 dotarło wojsko księcia Józefa, przynajmniej chwilowo, w maju do Lwowa, w lipcu zaś trwalej do Krakowa, powiększając ostatecznie obszar Księstwa przez dodanie do zaboru pruskiego części północnej zaboru austriackiego między Pilicą, Wisłą i Bugiem, a jednocześnie poza krajem nie brakło pięknego udziału jazdy polskiej w bitwie pod Wagram blisko Wiednia.

Udział już 100-tysięcznego wojska polskiego z Księstwa, a poza tym 16-tysięcznego z Litwy, w wyprawie Napoleona na Moskwę w r. 1812 był, krok za krokiem, świetny i ofiarny, w natarciu i w odwrocie, ze stratą ⅘ składu.

A jednak w r. 1813 znowu 40 tysięcy wojska polskiego jest w szeregach, pod Dąbrowskim na skrzydle północnym nad Łabą i pod księciem Józefem na skrzydle południowym koło Czech i Saksonii, aż do jego przepięknej śmierci w bitwie pod Lipskiem 19 października 1813.

Przez dwadzieścia lat, od ostatniej w Ojczyźnie walki zbrojnej z najazdem w powstaniu Kościuszki r. 1794, wojsko polskie, podjąwszy dalszy bój o wolność na obczyźnie, trwało pod tym znakiem w chwilach promiennych i posępnych. I nie tylko doczekało się powrotu do kraju już w r. 1807 w Księstwie Warszawskim i nawet w r. 1815 w Królestwie Kongresowym. Co najistotniejsze, wysiłek ten rozpalił na grobie, zdawało się, państwa niemal tysiącletniego znicz nieśmiertelności i po stu latach niewoli zmartwychwstało ono na dalszy swój los doli i niedoli.

Nic z tego wysiłku, dlatego właśnie że był wytrwały i nieugięty, nie poszło na marne.

A pieśń Legionów — Jeszcze Polska nie zginęła — stała się na zawsze wyznaniem wiary Narodu.

Cóż głoszą te dzieje z przed lat 150-iu?

Są to dzieje najprostszego zmysłu wolności, który każe trwać w walce, tak czy siak, póki nie ma wolności.

STANISŁAW STROŃSKI

W. BRYTANIA W EUROPIE

Ubiegły rok, od Poczdamu do drugiej Konferencji Paryskiej, w opinii publicznej W. Brytanii zaznaczył się między innymi poważnym wzrostem świadomości europejskiej.

Wyraża się to w dużej ilości artykułów publicystycznych, rozważających błędy popełnione przez W. Brytanię wobec narodów kontynentu, jak również w dyskusjach publicznych w Parlamencie oraz na platformach skromniejszych. Monachijczycy obu odcieni (niemieckiego i rosyjskiego) okazali tak małą dozę wyobraźni, a tak wiele krótkowzrocznego przystosowania się, że choć grasują jeszcze w prasie, wpływy ich w opinii publicznej, wyprzedzającej prasę dojrzałością, są w odwrocie. Po okresie defensywy, w latach 1943–45, „europejska" szkoła publicystyki na przełomie 1945–46 przeszła wyraźnie do natarcia.

Argumentacja tej szkoły jest prosta a Polakom nieobca. Publicystyka polska na emigracji od początku bowiem była jej szermierzem; najbardziej wymownym jej przedstawicielem jest chyba Zbigniew Grabowski.

Jesienią roku 1943, gdy klęska „osi" zaczęła się wyraźnie zarysowywać na horyzoncie — przypominają krytycy polityki Churchill-Eden — przed polityką brytyjską stawały dwie drogi działania i planowania przyszłości.

Pierwsza droga, to objęcie przewodnictwa nad narodami Europy i wzmocnienie w związku z nimi, a także w oparciu o nie światowego stanowiska W. Brytanii, zagrożonej narastaniem dwu pozaeuropejskich olbrzymów mocarstwowych: Stanów Zjednoczonych i Rosji.

Mowa Churchilla z marca 1943, o odrodzeniu wielkości Europy, o tworzeniu Rady Europejskiej, jako czynnika koordynującego regionalnie sfederowane człony Kontynentu zdawała się wskazywać, że Anglia właśnie pójdzie tą drogą. Chwila była ku temu sposobna, można było powiedzieć osobliwa, a narody ujarzmione wyczekiwały tylko znaku z Londynu, którego prestiż był w tym czasie ogromny.

Druga możliwość to gra, będąca nową wersją znanego tak dobrze W. Brytanii mechanizmu zwanego „*balance of power*" (równowaga sił) — tym razem na skalę światową, w ramach wyłaniającej się właśnie wówczas „Wielkiej Trójki".

Wbrew własnym zapowiedziom i, zdawało by się, skłonnościom, Churchill wybrał drugą drogę.

Obrońcy Churchilla przypominają, że to Roosevelt, udzieliwszy daleko idącego poparcia żądaniom Stalina, zmusił premiera brytyjskiego do odwrotu i kapitulacji wobec pretensji rosyjskich w Europie Środkowo-Wschodniej, że tylko dla takiej polityki można było liczyć na poparcie Stanów Zjedn. To prawda.

Ale zarzuty „europejskiego" kierunku publicystyki brytyjskiej idą dalej. Udowadnia się brak przygotowania, brak europejskiej linii przewodniej w latach 1941–1943. Wówczas już bowiem otwarcie przewidywano kryzys mocarstwowego stanowiska W. Brytanii w związku z geopolitycznymi przemianami, dokonywującymi się w świecie. Lotnictwo przybliżyło Kontynent do wysp brytyjskich, broń rakietowa uczyniła wszelkie próby odcinania się od Europy wprost śmiesznością.

Konieczność zapewnienia sobie przedpola kontynentalnego pod względem strategicznym, a podbudowy swych poczynań pod względem dyplomatycznym, była wówczas oczywista.

Polityka Churchilla — twierdzą rzecznicy kierunku europejskiego — Churchilla, który jako publicysta wykazał przed wojną godną podziwu dalekowzroczność, winna była wyciągnąć z tych przesłanek praktyczne wnioski.

A warunki zdawały się sprzyjać jednoczącym poczynaniom. Przewódcy Francji, Belgii, Holandii, Danii i Norwegii byli przez trzy lata w Londynie; los, jaki spotkał te kraje dawał im wiele do myślenia na przyszłość. Jak nigdy chyba przedtem kraje te szukały oparcia właśnie tutaj. Popierano zawiązki federacji polsko-czechosłowackiej i jugosłowiańsko-greckiej, a nie pomyślano o sprawach bliższych...

Jakże inaczej — mówi się dzisiaj w Londynie — wyglądałaby pozycja Churchilla w Teheranie, jego wysiłki obrony Europy Wschodniej, gdyby miał on za sobą poparcie bloku państw Europy Zachodniej, gdyby przemawiał głosem milionów Europejczyków.

Snując takie rozważania, publicyści szkoły europejskiej przypominają stare, mądre zasady, leżące niegdyś u podstaw dyplomacji brytyjskiej. Jedna z „szarych eminencji" dyplomacji brytyjskiej przełomu wieku XIX i XX, Sir Eyre Crowe pisał w swym pamiętnym memoriale („*Memorandum on the Present State of British Relations with France and Germany*", 1907): „England more than any other non-insular power, has a direct and positive interest in the maintenance of the independence of nations and therefore must be the natural enemy of any country threatening the independence of others and the natural protector of the weaker communities..."

Prawda ta, jedna z najbardziej podstawowych w polityce tej małej wyspy, została zarzucona w latach 1943–1945. Z dumą wówczas mówiono, że prowadzi się politykę, zdającą się potwierdzać powiedzenie Oskara Wilde, że Anglia ceni ludzi ponad zasady, ale ludzi bez zasad ponad wszystko w świecie.

Trzy razy przyłożyła ona ręki do rozbioru Europy: w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Przemiany ostatniego roku sprawiają, że dziś coraz bardziej żałuje się błędu, który mści się ciągle, na każdym niemal kroku... Nawrót do zasad, jakiś melancholijny dla nich szacunek, przebija z wielu artykułów i mów parlamentarnych; „spaliłem to com czcił, a biję czołem przed tym co spaliłem..."

Jesień i zima roku ubiegłego były tu — wydaje się — punktem zwrotnym.

Już samo przyjście do władzy gabinetu Partii Pracy stanowiło pewien krok naprzód, a to ze względu na związki labourzystów z socjalistami kontynentu. Bevin z dużą energią zabrał się do szukania jednego wspólnego języka z socjalistami Europy. Okazało się jednak, że jest dość późno. Europa Środkowo- i Południowo-Wschodnia znajduje się już w stalowym gorsecie sowieckim. Zachód podminowany został rosnącymi na sile „kompartiami", sabotującymi pomysły zespolenia Europy. Na konferencji w Londynie we wrześniu r. ub. z ust Mołotowa padły pod adresem Bevina twarde słowa, brzmiące jak ultimatum: „Wszelka próba montowania Bloku Zachodniego uważana będzie przez Związek Sowiecki za krok wrogi wobec Rosji".

Wówczas W. Brytania zawahała się... Ale od tego czasu sytuacja zmieniła się poważnie, zmuszając po prostu Londyn do tego, co nazywa się obecnie „uprawą własnego ogródka".

Niemożność ułożenia stosunków międzynarodowych na zasadzie współpracy Anglosasów z Rosją — jak to dowodnie wykazały dwie konferencje w Paryżu — konieczność wzmocnienia stanowiska W. Brytanii jako równego partnera Stanów Zjedn., a wreszcie elementarne warunki bezpieczeństwa wysp brytyjskich: wszystko to pcha Londyn w kierunku zacieśnienia współpracy na razie przynajmniej z Europą zachodnią.

Jest to oczywiście plan połowiczny i niekonsekwentny, ale po tylu błędach gdzieś trzeba zacząć od nowa, trzeba znaleźć jakąś linię oporu. Wydaje się, że proces wciągania W. Brytanii do współpracy z Europą nie jest tylko wyrazem przelotnej taktyki: jest to przemiana istotna, wyraz rewolucji politycznej i technicznej, jaką przyniosła nam wojna.

Proces ten musi pogłębiać się. Konsolidacja Europy nie może się zatrzymać na jakiejś sztucznej linii demarkacyjnej. Prędzej czy później Anglia musi przyjść do przekonania, że tylko zorganizowanie Europy jako demokratycznej, sfederowanej, uporządkowanej całości, zabezpiecza w pełni jej interesy.

Z drugiej strony istnienie na Zachodzie ośrodka wolności, ładu i dobrobytu, nie może nie pozostać bez wpływu na odporność narodów okupowanych przez Rosję — na zakusy sowietyzacji. Oby proces krzepnięcia Zachodu był dostatecznie szybki, by mógł się on w czas upomnieć o narody, które zostały odeń oderwane siłą. Oby narodom tym starczyło sił do przetrwania strasznej próby!

M. K. DZIEWANOWSKI

Przegląd tygodniowy

AMERYKAŃSKA NIESPODZIANKA

W ciągu ostatnich paru miesięcy, ton przemówień ministrów, oświadczeń ambasadorów i artykułów w dziennikach amerykańskich wobec Rosji coraz to bardziej przybierał na energii. Stany Zjednoczone zaczęły wyraźnie manifestować swoją siłę i chęć współdziałania w przyszłości Europy. Doszło do tego, że w kołach amerykańskich zaczęto coraz to bardziej przebąkiwać o możliwości konfliktu zbrojnego, o ile Sowiety nie zaprzestaną swojej agresywnej ekspansji na całym świecie...

Na tle tej energicznej postawy Ameryki ostatnie przemówienie p. Henry Wallace'a, ministra handlu St. Zjednoczonych, wywołało wrażenie podobne do...bomby atomowej. P. Wallace, znany dotychczas, jako idealista bardziej skrajny od zmarłego prezydenta Roosevelta, okazał się nagle i niespodziewanie ostrym krytykiem „brytyjskiego imperializmu" oraz zwolennikiem „łagodnego traktowania Rosji". Mowa p. Wallace'a była niespodzianką tym większą, ponieważ towarzyszyło jej równoczesne oświadczenie prezydenta Trumana, że podziela on poglądy swego ministra, poglądy, będące zupełnym odwróceniem polityki, prowadzonej przez Sekretarza Stanu — t.j. ministra spraw zagranicznych — p. James Byrnesa, który walczy teraz o prawa i interesy Ameryki na konferencji paryskiej.

Przez 24 godziny Sowiety nie posiadały się z radości: nie tylko odezwał się w ich obronie głos jednego z najpoważniejszych amerykańskich mężów stanu, ale jednocześnie powstał poważny rozdźwięk pomiędzy Anglią i Ameryką, czyli nastąpiło to, do czego dyplomacja sowiecka stale i niezmiennie dążyła: dwa mocarstwa zachodnie poróżniły się między sobą!

Na konferencji prasowej dziennikarze amerykańscy, którzy z reguły wykazują więcej ciekawości zawodowej, niż respektu dla najwyżej postawionych osób, zadali prezydentowi Trumanowi bardzo słuszne zapytanie: „Kto właściwie jest ministrem spraw zagranicznych, Byrnes czy Wallace? Kto, wobec tego, powinien wypowiadać się na temat amerykańskiej polityki zagranicznej?" Prezydent Truman natychmiast wycofał się z poparcia, udzielonego dzień przedtem Wallace'owi. Byrnes uzyskał chwilowy triumf, a Rosja zrozumiała, że żadne błędy lub omyłki prezydenta nie są w stanie zmienić zasadniczej linii polityki amerykańskiej, która, w dobrze zrozumianym interesie własnym musi opierać się na współpracy z W. Brytanią i nie pozwalać na panoszenie się Rosji.

ROZGRYWKI OSOBISTE I WYBORCZE

Wahania w polityce Stanów Zjednoczonych i niespodzianki w stylu opisanego zdarzenia wynikają w dużej mierze z rozgrywek natury osobistej, częściowo zaś spowodowane są przygotowaniami przedwyborczymi.

Nie będzie żadną ujmą stwierdzenie, że prezydent Truman nie jest tak wybitną osobistością, jak jego poprzednik — Roosevelt. Jest rzeczą przypadku, że Truman, typowy amerykański „średniaczek" — t.j. średni mieszczanin i również średni polityk — w ogóle został prezydentem. Minister handlu Henry Wallace, którego Truman najprzód poparł, potem zaś zdezawuował, miał większe szanse zostania prezydentem, bo był wiceprezydentem Stanów w latach 1940–44.

Kiedy Roosevelt został wybrany na swoją ostatnią kadencję, partia demokratyczna, która mianuje na swojej „konwencji" kandydatów na wszystkie najwyższe funkcje, nie mogła się pogodzić co do kandydata na wiceprezydenta. Część wyborców była w dalszym ciągu za Wallace'm; dla innych był on jednak — jak się teraz okazało, słusznie — zbyt daleki od zagadnień rzeczywistości; ci woleli, jako wiceprezydenta — Byrnesa. Ponieważ obie te kandydatury ostro się sobie sprzeciwiały, demokraci zgodzili się wreszcie na trzeciego kompromisowego kandydata: został nim właśnie Truman.

Z chwilą śmierci prezydenta, wiceprezydent automatycznie staje się prezydentem. W ten sposób objął Truman najwyższe stanowisko w Ameryce i stanął na czele najpotężniejszego państwa na świecie. Wallace i Byrnes pozostali osobistymi wrogami; Wallace, odczuwając widocznie potrzebę rewanżu, skłonny był z góry do przyjęcia tez politycznych, przeciwnych tezom Byrnesa, bez względu na to, czy są one naprawdę słuszne czy też nie. Poza tym wmieszał się on do cudzej dziedziny, t.j. do polityki zagranicznej. Truman, czując, że chodzi o dwóch ministrów, którzy są właściwie jego równorzędnymi kolegami, znalazł się w bardzo niewyraźnym położeniu.

Poza tym wiadomo ogólnie, że Truman liczy się z trudnościami wyborczymi: partia republikańska jest prawie równie silna, jak demokraci i wyzyskuje wszystkie błędy partii rządzącej. Truman stara się więc lawirować, jak np. w sprawie Palestyny, gdzie chodzi mu o głosy wyborcze Żydów w Ameryce, specjalnie liczne i wpływowe w stanie nowojorskim. W ten i temu podobny sposób działają właśnie w Ameryce t.zw. *„pressure groups"*, które wywierają nacisk na politykę tego kraju-kontynentu.

CO JEST DLA AMERYKI NAJWAŻNIEJSZE

Wnikliwy historyk i socjolog, dobry znawca Ameryki, prof. Brogan, wrócił ostatnio z podróży po Stanach. Stwierdza on, że o ile w Nowym Yorku lub Waszyngtonie ludzie wiedzą, iż punkt ciężkości spraw międzynarodowych leży w Europie, to na odwrót, ludzie w San Francisco uważają, że np. Chiny są co najmniej równie ważne. Snując dalej rozważania p. Brogana, można logicznie i nawet praktycznie wywnioskować, że dla Amerykanina ze „środkowego Zachodu", jak np. Chicago — i nie tylko z tych okolic — sprawy wewnętrzne Ameryki wydają się bez porównania ważniejsze od największych nawet problemów międzynarodowych.

Znana uczona amerykańska, pani Margaret Mead, zaczęła od studiowania antropologii, badając życie dzikusów, a przeszła skolei do badania cywilizowanych dzikusów, nie znajdując zbyt wielkich różnic zasadniczych pomiędzy jednymi i drugimi. Dla Amerykanów, jak twierdzi doktorka Mead, pępkiem świata jest ich „główna ulica" w miasteczku skąd pochodzą. Nie wolno zapominać, że Amerykanie mają wśród siebie wielu izolacjonistów. Ten kraj, złożony z Europejczyków-emigrantów wszystkich narodowości, którzy wytrzebili Indian-tuziemców i użyli, jako niewolników, murzynów afrykańskich, ulega po dziś dzień dużym wpływom niemieckim. Jankesi, których przodkowie urodzili się nad Renem lub nad Łabą, niechętnie patrzą się na zniszczenie kraju, z którego pochodzą.

W Ameryce, kraju młodym i niezrównoważonym, widać obok siebie zarówno rzeczy najlepsze jak też najgorsze. „Maszyna" obu partii politycznych jest jedną z najgorszych rzeczy. Idealizm, który ożywia wielu mężów stanu — jedną z najlepszych. W rezultacie, przeciętny Amerykanin mówi „mamy bombę atomową" i zdaje mu się, w jego naiwności, że może na niej złożyć skołataną głowę i spokojnie sobie pospać...

EUROPA WIDZIANA Z AMERYKI

Jeden z najlepszych polskich dziennikarzy i publicystów, ś.p. redaktor Rosner, zwykł mawiać, że wielu ludzi patrzy się na wielkie zagadnienia „z punktu widzenia żaby". Znaczy to, że są zbyt mali, że stoją np. zbyt blisko wielkiej kolumny i że, jak żaba, widzą tylko kawałek jej podstawy i to nawet w skrzywieniu perspektywicznym. Podobnie zdaje się nam, że obcy widzą nas tak samo, jak my samych siebie. Stąd dużo przykrości i nieporozumień, a czasem nawet tragedie.

Przeciętny Amerykanin rozpatruje sprawy europejskie oczywiście z punktu widzenia własnych interesów. Poszczególne kraje starego kontynentu z ich odmiennymi kulturami i aspiracjami narodowymi są dla niego tak samo mało ważne, jak np. szczegóły co do powiatów w hrabstwie Sussex dla Polaka w W. Brytanii. UNRRA w dużej mierze oznacza dla amerykańskiego byznesmana głównie i jedynie możliwość sprzedaży hurtowej swoich wyrobów po dobrej cenie. Pokój w Europie daje możliwość wprowadzenia towarów amerykańskich na rynki europejskie. Dlatego też np. były sekretarz stanu Hull i obecny wiceminister spr. zagr. Clayton starają się doprowadzić do kompromisu w Paryżu, aby móc skolei zaproponować krajom europejskim powrót do wolnego handlu.

Okupacja Niemiec rozpatrywana jest przez wielu Amerykanów przede wszystkim jako uciążliwe wygnanie dla paruset tysięcy żołnierzy amerykańskich, przymusowo oddalonych od rozkoszy małomiasteczkowej „głównej ulicy", nowojorskiego Broadway'u i w ogóle amerykańskiego trybu życia.

Japonia i Chiny, jako potencjalne rynki zbytu, interesują Amerykanów niemal tak samo jak Europa. Ponieważ w obu tych częściach świata Stany Zjednoczone napotykają na konkurencję rosyjską, możliwa byłaby — teoretycznie — ugoda, którąby oddawała każdemu z tych mocarstw jedną z obu wielkich stref ekspansji. Amerykanie rozumieją swoją ekspansję jako „politykę dolarową", Rosjanie jednak eksportują raczej ideologię komunistyczną.

Było by błędem przypuszczać, że wszyscy wpływowi Amerykanie zdają sobie istotnie sprawę z zasadniczej różnicy dążeń obu krajów. Nie wiedzą oni również, że proces historyczny rozwoju wielkich mocarstw oparty jest na zasadzie monopolu a nie na „międzynarodowej współpracy karteli". W przetłumaczeniu na język najprostszy można by to ująć tak: jest bardzo nieprawdopodobne, aby imperializmy kapitalistyczno-handlowej Ameryki i komunistyczno-dyktatorskiej Rosji mogły współistnieć na dłuższą metę i — co więcej — przyjaźnie współpracować.

Londyn, dnia 16 września 1946 r.

ZASTĘPCA

Dwa przemówienia

W niewielkim odstępie czasu dwaj amerykańscy politycy i członkowie administracji centralnej Stanów Zjednoczonych, p. Byrnes i p. Wallace wygłosili ważne przemówienia. Każde z osobna i oba razem wzbudzają najgłębszy niepokój co do losów Polski i losów świata.

Minister spraw zagranicznych, p. Byrnes, w swoim przemówieniu stuttgardzkim podtrzymał linię Jałty i Poczdamu. Uznał granicę wschodnią, odcinającą połowę Polski, przysądzającą Sowietom Królewiec, za granicę ostateczną. Jeszcze raz opatrzył znakiem zapytania naszą granicę zachodnią i otworzył niedwuznacznie możliwość jej zmiany na korzyść pobitych Niemiec.

W ten sposób Polska, zapłaciwszy koszta ugodowej polityki Roosevelta wobec Rosji, ma teraz płacić koszta polityki Byrnesa, zmierzającej do pozyskania względów Rzeszy Niemieckiej. Wszystko wskazuje na to, że nie inaczej myśli w tej sprawie W. Brytania. Pchnięta wbrew woli do ustępstw w Teheranie i Jałcie, jest teraz gotowa poprzeć Stany Zjednoczone w zamierzonych ustępstwach na rzecz napastnika niemieckiego.

Ten zarysowujący się obrót spraw, ten nieprzerwany ciąg krzywd wyrządzanych naszemu krajowi wzbudza najgłębszy odpór. Buntuje się przeciwko niemu rozum i serce, powstaje przeciw niemu instynkt elementarnej sprawiedliwości. Narody, stojące na stanowisku cywilizacji chrześcijańskiej, powinny mieć świadomość, że jest to równia pochyła, że jest to droga prowadząca w przepaść — nie tylko Polskę.

Dowód na to zjawił się wcześniej, niżby można oczekiwać i od strony zupełnie niespodziewanej. Kolega p. Byrnesa w rządzie amerykańskim, minister handlu, p. Wallace, w mowie wygłoszonej w Nowym Yorku zdyskredytował i przelicytował swego kolegę. Opowiedział się za *„appeasementem"* na olbrzymią skalę, za ułożeniem przyjaznych stosunków z Rosją, którego koszta zapłaciłaby — Wielka Brytania i Imperium Brytyjskie. Mowę Wallace'a poparł swoim autorytetem prezydent Truman i jego późniejsze wycofanie się z tego poparcia nie zmienia istoty wydarzenia.

Zejście ze stanowiska zasad, którego pierwszą ofiarą padła Polska — postawiło świat zachodni w obliczu straszliwej tragedii, w obliczu tej potwornej możliwości, którą p. Wallace poważył się nazwać po imieniu. *„Appeasement"* w proponowanej przez niego skali stawia nie tylko krzyżyk nad Polską, nad Europą Środkowo-Wschodnią, ale nad całym kontynentem europejskim i nad Wielką Brytanią. Można bez przesady powiedzieć: nad całą kulturą zachodnio-europejską.

Byłby to nie tylko wyrok śmierci na kraje, narody, kontynenty, ale wyrok śmierci na ideę — ideę wolności. Właśnie ta idea jest najsilniejszą więzią, która łączy Amerykę ze starym światem i z macierzystą kulturą. Właśnie ta idea powołała do życia Stany Zjednoczone i była światłem ich wspaniałej historii.

W ostatnich przemówieniach amerykańskich mężów stanu, zwłaszcza w wystąpieniu p. Wallace'a, nie można się dosłuchać głosu wielkich prawodawców i obrońców wolności: Washingtona, Jeffersona, Lincolna, Wilsona. Trzeba wierzyć, że nie jest to głos narodu amerykańskiego, że nie jest to głos jego zdrowego, prawdziwego instynktu i jego historycznego przeznaczenia.

ALEKSANDER JANOWSKI

W oczach obcych

W ubiegłym tygodniu zbiegły się dwa fakty, dotyczące Polskich Sił Zbrojnych w W. Brytanii. Przede wszystkim świętowano szóstą rocznicę *Battle of Britain*, która niewątpliwie przechyliła szale zwycięstwa, umożliwiając, przy wyjątkowo licznym i pełnym sukcesów udziale Polaków, dalszy opór przeciwko Hitlerowi. Skolei nastąpiło zaostrzenie stosunków pomiędzy władzami brytyjskimi a warszawskimi na temat P.K.P.R.

Na parę dni przed rocznicą Bitwy o Brytanię, Ministerstwo Lotnictwa opublikowało w oficjalnej *„London Gazette"* raport lorda Dowdinga, który, w r. 1940, był naczelnym dowódcą brytyjskiego lotnictwa myśliwskiego. Lord Dowding w ogromnie treściwym raporcie zawarł kilka zdań na podkreślenie zasług bojowych lotników polskich. Przyznał się on, że przedtem miał pewne wątpliwości, jak się zachowają ci lotnicy po przeżyciu klęski, poniesionej w dwóch krajach na kontynencie. Wątpliwości marszałka lotnictwa prysły jednak wobec niesłychanego zapału, z jakim lotnicy polscy, żywiołowo nienawidzący Niemców, ruszyli do boju.

„Dywizjon polski Nr. 303 zestrzelił w przeciągu miesiąca większą ilość Niemców niż jakakolwiek jednostka brytyjska w tym samym okresie czasu".

W załączonym do raportu" *ordre de bataille"* brytyjskiego lotnictwa myśliwskiego, według stanu z początku listopada 1940 r. podanych jest, na ogólną liczbę ośmiu dywizjonów niebrytyjskich (w tym 1 kanadyjski) — aż pięć polskich. Jest to namacalny dowód, jak duży był udział lotników polskich w RAF'ie. Jak wiadomo, w okresie późniejszym, RAF wchłonął również dywizjony innych lotnictw alianckich. Żadne z nich jednak ani w przybliżeniu nie odegrało roli tak ważnej jak Polacy, liczbowo i w efekcie swych działań.

Przypominamy te ogólnie znane fakty głównie dlatego, ponieważ musieliśmy stwierdzić z żalem i dużym zdziwieniem, iż prasa londyńska pominęła zarówno ustępy polskie z raportu marsz. Dowdinga, jak też — poza paroma słowami — udział polski w defiladzie i innych uroczystościach *Battle of Britain*. Służba sprawozdawcza prasy brytyjskiej posuwa się w tym przemilczaniu tak daleko, że nawet w podpisach pod fotografiami, gdzie tuż obok marszałka lorda Teddera widać generała Iżyckiego, nic o tym nie wspomina. Z punktu widzenia dziennikarskiego jest to zarówno niedokładne jak też krzywdzące wobec licznych polskich zasług i ofiar.

Wystąpienie p. Żymierskiego w związku z rozpoczętym już werbunkiem do P.K.P.R., wywołało prawdziwe osłupienie władz brytyjskich. Jak wiadomo, p. Żymierski zagroził, że ochotnikom, którzy zgłoszą się do korpusu, nie tylko odebrane będzie obywatelstwo polskie, ale również „polski stopień wojskowy i wszystkie odznaczenia". P. Żymierski pamięta widocznie z własnego doświadczenia, że, po skazaniu go za sprzeniewierzenie, zdegradowano go i odebrano mu posiadane ordery i odznaczenia. Groźba „naczelnego dowódcy" jest bardzo charakterystyczna, gdyż stanowi pewną próbę „odbicia się". Władze brytyjskie zastanawiają się obecnie głęboko nad tym, czy rządowi warszawskiemu nie zależy raczej na stałym robieniu obstrukcji i na wprowadzaniu Brytyjczyków w zakłopotanie przy każdej nadarzającej się ku temu sposobności. Pisze o tym bez ogródek dyplomatyczny korespondent pisma, na ogół bardzo życzliwego administracji tymczasowej, a mianowicie londyńskiego *„Times'a"*.

W najpoważniejszym angielskim tygodniku katolickim *„Tablet"*, ukazało się, jak już zapowiedzieliśmy ostatnio, dokończenie wstrząsającego artykułu Józefa Czapskiego „Duchy Starobielska". Druga część artykułu nosi wymowny tytuł „Bezowocne szukanie". Autor stwierdza m.in., jak reagował Stalin na żądanie władz polskich o przesłanie do armii, tworzonej pod dowództwem gen. Andersa, oficerów polskich z obozów jenieckich w Starobielsku, Kozielsku i Ostaszkowie. W listopadzie 1941 ambasador Kot, podczas audiencji u Stalina, interweniował w tej sprawie.

„Stalin okazał wielkie zdziwienie a nawet oburzenie, że dotąd jeńców tych nie wypuszczono. W obecności ambasadora zatelefonował do dowództwa NKWD, pytając, czemu nie zwolniono dotąd jeńców z tych trzech obozów. Stalin podkreślił w rozmowie telefonicznej, że „amnestia" obejmuje wszystkich Polaków i że należy natychmiast wypuścić każdego z nich".

Nawiasem zaznaczymy, że jest obecnie rzeczą ogólnie wiadomą, iż ten sam p. Kot, jako minister informacji i dokumentacji rządu polskiego w Londynie, był inicjatorem noty do rządu sowieckiego w sprawie Katynia, po której Moskwa zerwała stosunki dyplomatyczne z Polską. Nic dziwnego, że „ambasador" Kot — tym razem w Rzymie i to z ramienia p. Bieruta — stara się dziś usilnie, aby zapomniano o jego dawnych interwencjach...

Wróćmy jednak do niezmiernie ciekawych wywodów Czapskiego:

„4. grudnia 1941, Stalin przyjął generałów Sikorskiego i Andersa. Prosili go formalnie o zwolnienie jeńców... Jednocześnie gen. Anders przedłożył Stalinowi listę 4 tysięcy nazwisk oficerów. Reakcja Stalina była zupełnie inna niż miesiąc przedtem, kiedy przyjął Kota. Tym razem Stalin nie okazał oburzenia, ale ograniczył się do wymijającej odpowiedzi. Oświadczył, że jeńcy prawdopodobnie uciekli i schronili się w Mandżurii... Sikorski i Anders zbili argumentami tę hipotezę. Gen. Anders wyraził przypuszczenie, że komendanci obozów pracy zatrzymali tych jeńców, jako niezbędnych dla nich. „W takim razie — oświadczył Stalin — „skończymy" tych komendantów". I w obecności polskich generałów dał formalne instrukcje Mołotowi, aby natychmiast zwolnić jeńców tych trzech obozów".

Następuje długie bezowocne szukanie wielu tysięcy zaginionych oficerów polskich. Starania w NKWD, w głównej komendzie obozów jenieckich i td. nie dają żadnych wyników. Nawet na patetyczne pytanie: „Jeżeli nasi koledzy już nie żyją, to czy nie mamy prawa wiedzieć, gdzie i w jakich okolicznościach zginęli?" — nie udzielono żadnej odpowiedzi. I tylko jeden ślad pozostał po nich: przypadkowa uwaga zastępcy szefa NKWD, Mierkułowa do płk. Berlinga, w październiku 1940, kiedy Berling wspomniał o przydatnych kadrach oficerskich z tych obozów: „Nie, tych nie możecie mieć. Popełniliśmy wielką omyłkę..."

LECTOR

Poradnik żołnierski

J. Kowalik.

T.zw. „dodatek wojenny za wysługę lat" jest raczej podwyższeniem żołdu. Podwyższony żołd otrzymują ci, którzy do 1.7.46 mają za sobą 3 lub 4 lata służby w P.S.Z. pozostających w łączności organizacyjnej z Siłami Zbrojnymi Brytyjskimi.

K.S.

Demobilizacji francuskiej podlegają tylko ci żołnierze, którzy służyli w Armii Polskiej we Francji w r. 1939–40 t.zn. byli wcieleni w okresie między 1.10.39 a 24.6.40 do jednej z polskich formacji pozostających w łączności organizacyjnej z armią francuską. Ponieważ został Pan zdemobilizowany na terenie Afryki Płn. przez Władze Francuskie, nie obowiązują Pana żadne formalności związane z tą sprawą na terenie W. Brytanii.

Obecnie demobilizowanym żołnierzom Władze Francuskie przyznały premię demob. w wysokości 1,000 fr. fr.

Za okres niewoli niemieckiej przysługuje Panu gaża od władz francuskich.

Plut. Ter.

Wszyscy ci żołnierze, którzy należeli do P.S.Z. na terenie Francji w r. 1939–40 (dotyczy to więc wszystkich żołnierzy podlegających demobilizacji francuskiej) mogą prosić o możność należenia do „Fédération Nationale des Combattants Volontaires", której legitymacja upoważnia do odznaczenia „Croix du Combattant Volontaire", o ile zainteresowany żołnierz nie został wcielony do wojska polskiego we Francji na podstawie poboru.

M.A.Z.G.

Ostatnio prośby o indywidualną demobilizację na podstawie rozkazu L. 130/O. Rozm./46 są traktowane bardziej liberalnie, niż poprzednio. O ile posiada Pan wizę wjazdową do Irlandii nie powinno być żadnych trudności ze zdemobilizowaniem Pana. Przez wcześniejsze demobilizowanie się bierze Pan na siebie odpowiedzialność na przyszłość co do zatrudnienia, środków utrzymania i tp.

„Zwolniony".

Trudno mi jest Panu poradzić w jakiej miejscowości i w jakim hotelu może Pan zatrzymać się w czasie urlopu na terenie południowej wzgl. zachodniej W. Brytanii (Walia). Radzę kupić sobie poradnik *„Where to stay"* niedawno wydany przez Littlebury 8 Company Ltd., The Worcester Press w Worcester, cena 1 sh. Obawiam się, że w miesiącach letnich jest bardzo trudno znaleźć jakieś miejsce w hotelu, pokoje na okres wakacji są zamówione od kilkunastu tygodni.

Stanisław.

„Medaille des Evadés" (medal za ucieczkę z niewoli) przysługuje Panu. Medal ten mogą otrzymać ci żołnierze, którzy uciekli z niewoli niemieckiej, internowania w Szwajcarii, i ponownie wstąpili do szeregów alianckich. O ile był Pan ranny w czasie działań wojennych 1939–40 (podczas przynależności do Armii Polskiej we Francji) i może Pan to odpowiednio udowodnić, przysługuje Panu również francuska odznaka za rany „Insigne des Blessés".

Ochotniczka „Maryla".

Język polski został dopuszczony do korespondencji zewnętrznej z Rzeszy Niemieckiej. Sprawa ta została unormowana zarządzeniami brytyjskimi, może więc Pani śmiało pisać po polsku.

Kpr. Hoch. Artur.

List Pana w sprawie trudności w uzyskaniu wizy dla żony na przyjazd do W. Brytanii przekazałem Wydziałowi Rodzin Wojskowych Szefostwa Służby Opieki nad Żołnierzem Sztabu Głównego.

Powracająca fala

Bitwa powietrzna o Wielką Brytanię z sierpnia i września 1940 r. jest dziś już tylko historią. Zamknęła ona pewną epokę, wykazała męstwo tych niewielu, którzy w niej wzięli udział. Przed laty była dla nas wszystkich zdarzeniem nieprzeciętnym, od którego wyniku zależało nasze dalsze „być albo nie być".

Można historię przemilczać, można legendę poetyzować, wypaczając właściwą jej treść, faktów historycznych jednak sfałszować się nie da. Nie da się zmienić prawdy, że w zwycięskiej Bitwie o Brytanię polskie skrzydła broniły Londynu, tak jak dziś — w rocznicowej defiladzie — powracającą falą nad tym Londynem przelatują.

Małe i nieliczebne były te skrzydła, ale w małości swej potężne i drapieżne. Tak drapieżne, że podziw ogarniał gospodarzy tego kraju, do którego niezmęczeni „żołnierze-tułacze" przyszli się bić za cudzą i własną wolność.

Nawet w gorączce chwili dziejowej bezstronność Anglo-Sasów kazała im ocenić wysiłek niewielkiej wtedy jeszcze garstki lotnictwa polskiego. Szpalty wszystkich dzienników zapełniały się opisami bitew powietrznych, staczanych nad spokojnymi polami hrabstw Sussex, Surrey i Kent. Podawano wiernie wyniki tych gigantycznych powietrznych zmagań — i głośno było o Polakach. Reporterzy łamali sobie języki nad sylabizowaniem nowych, dziwnie długich nazwisk, by choć w ten sposób oddać hołd tym, którzy zasypali szkieletami „Messerschmitt'-ów", „Heinkli" i „Junkersów" niezebrane jeszcze płody ziemi południowej Anglii.

Głośno było o Polakach... Bo też ci dawali z siebie wszystko, co dać mogli, zgoła nie zdając sobie sprawy, że przez czyny swe wprowadzą polskie skrzydła, chwilowo uziemnione, z powrotem do chwały Września. Tego dawnego już września sprzed roku. Że zerwą maskę Goebbelsowskiej propagandzie, iż polskie lotnictwo nie istnieje, a „banda Sikorskiego" to zbieranina uchodźcza, niezdolna do czynu.

Nie wiedzieli ci z 303, i ci z 302 i ta garstka 75 Polaków w dywizjonach angielskich R.A.F-u, że wypisują najpiękniejsze karty historii polskiego lotnictwa. Że przez pryzmat Bitwy o Wielką Brytanię świat będzie oceniał nie tylko ich, ale całe lotnictwo polskie, że Kraj będzie czerpał natchnienie z ich wiary, męstwa i bohaterstwa. Że ich wyczyny z Bitwy o Brytanię staną się elementarzem dla dzieci w Kraju dzięki konspiracyjnym wydaniom książki „Dywizjon 303".

Bitwa o Wielką Brytanię była jedną z tych przełomowych bitew świata, która nie tylko wpłynęła na wynik wojny, ale zmieniła bieg historii. Po druzgocących zwycięstwach we Flandrii i Francji, gdy większość Europy nie widziała już ratunku, garstka młodzieży stanęła w zapasy z niemożliwą, zdawało by się, do pokonania siłą.

Polacy są dumni, że w tej rozstrzygającej bitwie wzięły udział polskie skrzydła.

Niewielu ludzi w tym kraju wiedziało przed wojną, że istnieje polskie lotnictwo. Po wrześniu i ci, co wiedzieli — pod wpływem propagandy hitlerowskiej przestali w nie wierzyć. I właśnie w momencie, gdy kraj ten najbardziej lotnictwa potrzebował, przybyły mu w pomoc dwa dywizjony myśliwskie z polskimi znakami.

Polacy dowiedli światu, że umowa o braterstwie broni, o wsparciu w wojnie nie jest dla nich sprawą politycznej wygody, ale jest obowiązującą i wiążącą do ostatniego paragrafu, do ostatniego słowa.

Do Bitwy o Wielką Brytanię wystartowało początkowo 75-iu Polaków w dywizjonach R.A.F.-u. Wypożyczeni angielskim jednostkom związali się z nimi, dorzucając własne sukcesy do ich tradycji. W pierwszej fazie bitwy, która rozgorzała dnia 8 sierpnia Polacy zapisują w księgach pamiątkowych brytyjskich dywizjonów 29 zwycięstw pełnych, 2 prawdopodobne i 9 samolotów uszkodzonych.

W tej pierwszej fazie, trwającej przez 10 dni, walka wre nad portami brytyjskimi. „Luftwaffe" stara się „zmiękczyć" grunt pod inwazję, by w fazie drugiej od 19 sierpnia do 7 września przez niszczenie lotnisk i lotnictwa R.A.F. realizować już plany inwazyjne.

Nie wszystko jednak układa się Niemcom zgodnie z planem. Przeciwnik okazuje się twardszy, niż przypuszczał sztab niemiecki.

Z iście niemiecką furią rzuca Hitler swe najlepsze jednostki bojowe do walki z R.A.F.-em w tej decydującej fazie drugiej. Przecież na jego drodze nie może być przeszkód! R.A.F. jeszcze skupia się w sobie, odgania Goeringowe sępy z nieba południowej Anglii, wiąże się z nimi w walce już nie o własne życie, ale o utrzymanie demokratycznego porządku. Mimo olbrzymiej przewagi wroga nie tylko się obronił, ale zadał śmiertelny cios, z którego „Luftwaffe" już nigdy się nie podniesie.

W tej fazie wchodzą do walki 303 dywizjon Tadeusza Kościuszki ze stacji Northolt i 302 dywizjon Poznański z Leconfield.

Historia powstania dywizjonu 303 sięga roku 1920, pamiętnych dni uwolnienia Polski od najazdu bolszewickiego. Wtedy ten dywizjon złożony z ochotników amerykańskich z kpt. Faunt le Roy'em na czele bierze udział w obronie Warszawy. Teraz odradza się na brytyjskiej ziemi, by wziąć udział w obronie innej stolicy, Londynu, broniącej cywilizacji chrześcijańskiej.

W locie treningowym por. Paszkowski strąca pierwszy samolot, dzięki czemu uznano dywizjon za gotowy do akcji operacyjnej. Wstąpiwszy do boju, zestrzelił on w tej fazie walki 36 samolotów na pewno, 9 prawdopodobnie.

Hitler już wie, że nie uda mu się złamać lotnictwa brytyjskiego. Rzuca się na Londyn, chce spalić i zniszczyć miasto, które stoi na drodze „nowego porządku".

Jest to najpiękniejszy okres zwycięstw lotnictwa brytyjskiego, najwspanialszy też okres triumfu polskich skrzydeł. Przez miesiąc od 8 września do 10 października na tle płonącej stolicy Imperium toczy się bój o wolność. R.A.F. dokonuje cudów bohaterstwa, resztkami sił i resztkami samolotów wygrywa ten straceńczy pojedynek. 885 samolotów niemieckich wzamian za 150 samolotów R.A.F. — taki jest wynik walk.

Cały świat z triumfem ogłasza ten wynik, otucha i wdzięczność napełnia serca mieszkańców. Wdzięczność dla tych niewielu, z których 75-iu ginie w tej trzeciej decydującej fazie bitwy.

Wśród tych 32 długich dni kilka to dni prawdziwego triumfu R.A.F.-u: 7 września 103 samoloty zestrzelone, 13 września 185 samolotów niemieckich leży w szczątkach, 15 września 190 samolotów nieprzyjacielskich zostaje wydarte „Luftwaffe", 29 września znów do zwycięstwa przybywają 133 nowe zwycięstwa.

Są to też dni chwały polskiego lotnictwa. 7 września zwycięstwa Polaków przedstawiają 17% całości, 11 września 19 samolotów, strąconych przez Polaków stanowi 23% zwycięstw dnia, 26 września 15 samolotów niemieckich płonie strąconych przez polskich myśliwców na ogólną liczbę 31 a więc 48%.

Czwarta faza bitwy są to już tylko działania nękające. Nadwyrężona „Luftwaffe" jeszcze atakuje, ale już bez wiary w sukcesy. Traci w tym okresie nowe 173 samoloty.

Koniec października uważa się za ostateczne zakończenie Bitwy o Wielką Brytanię. W bitwie tej lotnictwo królewskie zestrzeliło 2,315 samolotów nieprzyjacielskich, tracąc 602 samoloty i 298 pilotów.

Na rachunek Polaków przypadło 203 samoloty zestrzelone na pewno, 35 zestrzelonych prawdopodobnie i 35 uszkodzonych. Zginęło 26 polskich myśliwców.

W zestawieniu procentowym Polacy posiadają 9% zwycięstw w Bitwie o Wielką Brytanię. Te 9% jest stosunkiem niewspółmiernym do ilości zaangażowanych sił.

Nie da się obliczyć, jakby wyglądała ta największa w historii bitwa powietrzna bez tych 9% udziału Polaków. Ile cierpień i łez, ile zabitych niewinnych ludzi i dzieci, ile zniszczonych domów zaoszczędzili Polacy przez swoje 9% udziału w zwycięstwie.

Dzień 15 września, dzień największego triumfu R.A.F. ze 190 strąconymi samolotami nieprzyjaciela stał się świętem brytyjskiego lotnictwa myśliwskiego.

Polacy w dniu tym zestrzelili 26 na pewno, zapisując na swoje konto 14% zwycięstw. Jest to więc też i dzień święta polskiego lotnictwa myśliwskiego.

Bitwa o Wielką Brytanię ma swoją historię. Posiada też swoją tradycję, tak jak wszystkie niecodzienne czyny minionych lat.

Tradycją tej bitwy są już słowa ówczesnego Premiera Wielkiej Brytanii, Winstona Churchilla: „*Never in the field of human conflict was so much owed by so many to so few*".

Tradycja związała R.A.F. w Bitwie o Wielką Brytanię z jedynym obcym lotnictwem — lotnictwem polskim. Można niektóre rzeczy usunąć w cień, w Bitwie jednak o Wielką Brytanię nie można przemilczeć, że Polacy spełnili swój obowiązek sojusznika z poświęceniem ponadprzeciętnym, z brawurą prawie nadludzką.

Los związał Polaków z tym pamiętnym okresem historii. To też dowództwo lotnictwa królewskiego nie zapomniało o swych wiernych towarzyszach broni. Nie zapomniano o nas nawet w czasie „parady zwycięstwa", bo nie można było przemilczeć udziału polskiego lotnictwa z okresów Bitwy o Wielką Brytanię. Ale gorzkie to było dla nas zwycięstwo i gorzkie zaproszenie. Nie mogliśmy niestety, my Polacy, zapomnieć o naszych towarzyszach broni spod Monte Cassino i Falaise, nie mogliśmy bez nich wziąć udziału w „paradzie".

15 sierpnia jest jednak naszym świętem lotniczym. I o tym władze R.A.F. pamiętały, mimo że 6 lat upłynęło od pamiętnej chwili Bitwy o W. Brytanię.

W tradycyjnej defiladzie nad Londynem nie zabraknie Polaków. Powrócą falą powrotną już nie w szykach bojowych, gotowych do walki, lecz w defiladzie, nad miastem, którego broniły. W szykach tych co t r z e c i samolot będzie polski.

Polacy w tej defiladzie biorą udział w składzie dziesięciu dywizjonów, w składzie znacznie większym, niż w „Battle of Britain". Dla nas lotników będzie to prawdopodobnie ostatnia defilada w obecnej organizacji. Warunki polityczne stanęły na przekór naszym marzeniom. Myśleliśmy o tradycji 15 sierpnia na lata całe. Po zwycięskiej wojnie pragnęliśmy wrócić do swoich, domowych lotnisk i z nich przylatywać na dzień 15 sierpnia nad Londyn, by razem z R.A.F.-em defilować nad tym miastem, które stało się probierzem wolności w ostatniej wojnie.

Niestety, dywizjony nasze przylecą z dalekich Niemiec, niewiele bliżej niż z Warszawy, by wziąć udział w tej ostatniej defiladzie jako prawdziwe Polskie Siły Powietrzne.

A my, patrzący na lot naszych brytyjskich i polskich kolegów jednak wierzyć będziemy, że jak w Bitwie o Wielką Brytanię, dobro zwycięży nad złem.

I w przyszłości tradycję 15 września utrzymamy.

WŁODZIMIERZ OSIATYŃSKI



Gawędy o W. Brytanii

Cechy języka angielskiego

Zmarły w czasie tej wojny duński znawca języka angielskiego Otto Jespersen, profesor uniwersytetu w Kopenhadze, w swojej książce o dziejach tego języka, powiedział słusznie, że najbardziej uderzającą jego cechą jest lapidarność, męska zwartość i dosadność. Istotnie, język angielski jest doskonale zwięzły. To co w innych językach trzeba wyrazić nieraz całym zdaniem, angielski załatwia jednym skrótem.

Gdy zapytamy na stacji kolejowej, który to pociąg odchodzi do X., odpowiedzą nam: „*next one in*", co znaczy: „następny, który zajedzie na ten peron". Angielski jest mistrzem w operowaniu takimi skrótami czy hasłami: a więc w autobusie konduktor woła przy odjeździe wozu „*hold tight*" („trzymać się mocno"); hasła jak „*hold on*" („trzymać się, wytrzymać"), „*cheer up*" („w górę głowa!") i td., rodzą się w tym języku jak grzyby po deszczu. Nieograniczone możliwości dają tutaj takie słowa, jak „*take*", „*see*", „*turn*" i td.; w czasie wojny n.p. słowo „*pin*" (przyszpilać, przybijać) dało pochodną „*pin-up girl*", co znaczy „dziewczyna, której fotografię przybija się na ścianie" (głównie gwiazdy filmowe).

Zwięzłość jest wielką zaletą, ale i wielką — wadą tego języka: albowiem przy tłomaczeniu na obce języki trzeba nieraz rozbijać zwarty szyk słów angielskich na bardziej luźny. Każdy kto tłomaczył z angielskiego na polski parał się z tymi trudnościami: rezultat był taki, że tekst polski był znacznie dłuższy, aniżeli angielski.

W języku polskim wiele rzeczy trzeba omówić; język nasz lubi kwiecistość, nawet gadulstwo, kocha się w przymiotnikach, ozdobnych słowach: angielski jest o tyleż bardziej *matter-of-fact*, rzeczowy, rządzony prawem *understatement*. Unika zbyt dużych zgrupowań przymiotników, słów przesadnych, afektowanych. Proza angielska — mistrzów takich jak Oscar Wilde, Somerset Maugham, Robert Graves i in. — jest prosta, przejrzysta. Dla ludzi z kontynentu poznanie tej prozy jest bardzo wskazane: nauczą się bowiem lepiej, prościej formułować swoje myśli, oduczą się używania słów „od wielkiego dzwonu", unikania napuszonego patosu, sztuczności. Proza angielska jest dobrą szkołą prostoty.

Można by powiedzieć, że jeżeli piękno języka francuskiego leży — poza jego muzycznym urokiem — w logice sformułowania myśli oraz w pewnej kwiecistości i elegancji, to piękno angielskiego spoczywa głównie w prostocie ujęcia, w jasności budowy. W zestawieniu z francuskim angielski może się nam wydać językiem dziwnie „prozaicznym" czy „użytkowym"; mylne byłoby jednak mniemanie, jakoby język ten nie dbał o piękno, nie był zdolny do ekspresji, do rytmu i melodii. W rękach wielkich pisarzy język ten zdolny jest do wspaniałych wzlotów. Kojarzy on pewną dostojność i męską siłę — przypominającą chwilami łacinę — z delikatnością odcieni. Albowiem wrodzony mu *understatement* sprawia, że język angielski wielu rzeczy nie dopowiada, pewne rzeczy tylko sugeruje, zaznacza. Ta właśnie gra prostoty, męskiej siły i niedopowiedzenia stanowi wielki urok tego języka.

Każdy przybysz na teren W. Brytanii przekona się rychło, że w kraju tym dialekty i narzecza mają swój kurs, jak w każdym innym i że nie tak łatwo zrozumieć jest n.p. mieszkańca Lancashire czy zwłaszcza Yorkshire — nawet jeżeli zna się dobrze angielski. Na pocieszenie trzeba zaznaczyć, że sami Anglicy nie bardzo się wzajemnie rozumieją i że nawet w lekturze gwara Lancashire czy hrabstwa York nie dla każdego jest zrozumiała. Te odrębności gwarowe zachowały się i tkwią wcale mocno.

Na domiar złego, olbrzymi odłam ludności miejskiej W. Brytanii mówi swoistym narzeczem (*slang'iem*), który zwie się zazwyczaj w Londynie *cockney*'em. To *argot* ludności Londynu — szczególnie rozmaitych gospodyń — *landladies*, praczek czyli *laundrywomen*, listonoszów, mleczarzy, posługaczek czyli *charladies* albo *charwomen* — jest istnym strapieniem cudzoziemca. O ile w Paryżu pokojówka czy listonosz lub mleczarz — nie mówiąc już o sklepikarzu — stara się wysłowić najbardziej starannie (tradycja dobrego języka jest we krwi każdego Francuza podobnie jak każdego Włocha), to niższe sfery w Anglii nie dbają o to zupełnie. Cudzoziemiec, który przybędzie do Anglii nie może zrozumieć przez dłuższy czas swojej pokojówki, praczki i td. Sfera ta mówi swoim malowniczym *cockney*'em, któremu pomnik wystawił G. B. Shaw w słynnym „*Pygmalionie*".

Powodem używania *cockney'u* przez tak poważny odsetek ludności są wady szkolnictwa. Jakkolwiek W. Brytania w oczach wielu cudzoziemców uchodzi — słusznie — za kraj wysoce cywilizowany, procent analfabetów jest tu wyższy, aniżeli się zdaje. Okazało się to w dobie wojny, kiedy przy zaciągu wojskowym wyszły na jaw poważne stawki analfabetyzmu. Krzewi się on na tle unikania szkoły, która nie wszędzie zdoła przeniknąć, pewnych zaniedbań w upowszechnieniu szkolnictwa i zaniedbaniu t.zw. warstw niższych przez ustawodawstwo społeczne.

Na skutek tego setki tysięcy nie mają dostępu do oświaty; niekiedy jest to t.zw. analfabetyzm wtórny, niekiedy działa oddalenie od ośrodków oświaty. W większości jednak wypadków, jak sądzić należy, gra tu rolę przywiązanie do barwnego, pełnego polotu języka gwarowego.

Wspomnieliśmy już, że Stany Zjedn. — największe skupienie w świecie mówiące językiem angielskim — tworzą dzisiaj nie tylko własną literaturę, coraz to bogatszą i obfitą w talenty, ale i rozwijając język. Można dzisiaj w pewnej mierze mówić o języku „amerykańskim". I tak cały szereg słów pojawia się tylko w języku USA: n.p. *gasoline* na określenie benzyny (w Anglii *petrol*); w Stanach używa się pisowni *color, labor, humor* i td. a więc bardziej zlatynizowanej, w Anglii *colour, labour, humour* i td.

Poza tym powstały tysiączne zwroty ukute przez samo życie: są to zwroty barwne, ciekawe, pełne imaginacji (n.p. „*step on the gas*": dla podkreślenia pośpiechu — „rusz się, śpiesz się"). Książki amerykańskie roją się dzisiaj od nowych, zastanawiających słów, ciekawych porównań: w wielu wypadkach nie sposób je czytać bez pomocy specjalnego słownika. Istnieją już pękate słowniki gwary amerykańskiej. Ostatnio jeden z czołowych krytyków USA, Mencken, zebrał te zwroty i twory w olbrzymiej pracy pt. „*The American Language*".

Istotnie, język angielski rozwija się na olbrzymim terenie Stanów, gdzie każdy naród wchodzący w skład mozaiki USA dodaje swoje słowa, zwroty — pełno jest nalotów niemieckich, włoskich, hiszpańskich, murzyńskich — coraz to szybciej, coraz to śmielej.

Ameryka jest dzisiaj potężnym czynnikiem rozwoju języka angielskiego. Dąży on do wytworzenia pewnej wspólnoty anglosaskiej: nie tylko w dziedzinie polityki, handlu, gospodarki, ale i języka oba te wielkie narody zbliżają się do siebie. Język jest tu potężnym czynnikiem. Tworzy go dzisiaj już nie tylko sama Anglia, *merry old England*, ale i ojczyzna wuja Sama, która dumnie powiada o sobie — z zarozumiałością właściwą młodym rasom — że jest krajem samego Pana Boga, *God's own country*.

JAWNUTA

Nowa próba zastraszenia

Dnia 12 b.m. „marszałek" z sowieckiego mianowania i „naczelny dowódca wojska polskiego", dowodzonego i kontrolowanego przez oficerów Armii Czerwonej, p. Rola Żymierski wygłosił przez radio przemówienie do żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie. Należy ono do serii gorączkowych działań podjętych przez „rząd tymczasowy" przeciw PKPR. Korpus tworzący zwartą całość, pozostający poza zasięgiem jego kontroli jest dla tego „rządu" przedmiotem nietajonej wściekłości.

Ta wściekłość wyziera także z przemówienia p. Żymierskiego. Daje on niedwuznacznie do zrozumienia to, co było i jest istotą stosunku narzuconego reżymu do żołnierzy polskich poza krajem. Nie idzie o to, abyśmy wrócili. Idzie przede wszystkim o to, abyśmy nie stanowili zwartej masy, wolnej, wolno myślącej i wolno osądzającej to, co się w Polsce dzieje. Idzie o to, aby zamilkł głos sprzeciwu i głos domagający się sprawiedliwości dla naszego narodu.

Wszystko inne w przemówieniu jest tylko kamuflażem tego pobożnego życzenia. Zwłaszcza odwoływanie się do „honoru żołnierza polskiego" przez człowieka, który ten honor splamił zwyczajnym przestępstwem, zbrodnią pospolitą i zdradą główną.

Dla przydania wagi swoim zaklęciom przeciw rzekomej służbie „obcej sprawie pod obcymi sztandarami" — p. Żymierski wypróbowanym sposobem ucieka się do pogróżek. Grozi już nie tylko pozbawieniem obywatelstwa, ale ...i stopni wojskowych. Ustawa z r. 1920 mówi o możliwości utraty obywatelstwa, nie mówi o możliwości utraty stopni i odznaczeń. To jest własny pomysł „marszała Żymirskowo", którego polski sąd wojskowy pozbawił stopnia wojskowego, a wrogi Polsce rząd obcy obdarzył najwyższą godnością za wierną służbę.

Żołnierze, wchodzący do PKPR winni być świadomi, czym się im grozi i kto im grozi. Winni mieć w pamięci słowa gen. Andersa, wypowiedziane w czasie objazdu oddziałów II Korpusu: „Pozbawić obywatelstwa może tylko Rząd Rzeczypospolitej, wybrany z wolnej woli narodu — tylko legalna władza polska. Wszelkie pogróżki czy nawet postanowienia t.zw. administracji warszawskiej żadnej mocy prawnej nie mają".

EDWARD ŻYWOŃ

WYDAWNICTWA STOWARZYSZENIA POLSKICH KOMBATANTÓW

Jednym z wielu kierunków działania Stowarzyszenia Polskich Kombatantów jest akcja wydawnicza. Do chwili obecnej wydano 7 broszur, traktujących o różnych przejawach życia zbiorowego i zawodowego, tak polskiego, jak i naszych brytyjskich gospodarzy. Opracowania te posiadają szczególne znaczenie dla żołnierza polskiego, który ma po pewnym okresie czasu wejść w życie cywilne, zawodowe w obcych sobie środowiskach.

Na szczególne podkreślenie zasługuje broszura nr. 1 p.t. „Organizacja świata pracy w W. Brytanii“ (autor J. Frasowey). Opisuje ona dokładnie całość zagadnień zawodowego życia na wyspach od strony pracodawcy i pracownika, omawia organizację związków zawodowych (*Trade Unions*), świadczenia tych związków na korzyść swoich członków i t.p. W osobnym rozdziale przedstawiona jest sprawa zatrudnienia cudzoziemców.

A oto tytuły innych broszur:

- Nr. 2. St. Rak — „Reforma rolna w Polsce“
- Nr. 3. M. Rogoyski — „Dom i osiedle w odbudowie powojennej“,
- Nr. 4. S. Klinga — „Korzyści zorganizowanego życia zbiorowego“,
- Nr. 5. S. Grajnert — „Rolnictwo w krajach zamorskich“,
- Nr. 6. J. Sowey — „Ubezpieczenia społeczne w W. Brytanii“, która w połączeniu z broszurą nr. 1 stanowi pewnego rodzaju całość, i
- Nr. 7. W.K. — „Zawód górnika“.

Komplet tych broszur wraz z zakupionymi u Samopomocy Lotniczej broszurami omawiającymi poszczególne kraje z punktu widzenia możliwości osiedleńczych, stanowi zaczątek biblioteczek podręcznych Kół Stowarzyszenia w terenie.

Przewiduje się wydanie w niedalekiej przyszłości dalszych kilku broszur, m.in. nr. 8 „Jak korzystać z usług bankowości“, nr. 9 „O zawodzie handlowca“, nr. 10 „Spółdzielnia pracy“ i t.p.

DZIAŁ OŚWIATY

zawiadamia, że, podobnie jak w latach poprzednich, w roku szkolnym 1946–7 będzie uruchomiony w Edinburghu komplet nauki religii, języka polskiego, historii i geografii Polski z zakresu programu szkoły powszechnej dla dzieci, które uczą się w szkołach brytyjskich. Zgłoszenia na komplet należy kierować pod adresem: I. Hewell, 5, Wester Coates Gardens, Edinburgh. Nauka w kompletach jest bezpłatna.

SPIS RZECZY

OD ADMINISTRACJI

Od dn. 1 listopada 1946 spodziewana jest podwyżka przydziału papieru dla licencjonowanych periodyków na terenie Wielkiej Brytanii. W miarę możności technicznych będziemy dążyli zarówno do zwiększenia objętości „Polski Walczącej“ do 6-iu stron druku, jak i do bogatszej szaty graficznej. Ponadto będziemy mieli możność zaspokojenia wszystkich potrzeb z terenu. P. T. Odbiorców Hurtowych i Czytelników „Polski Walczącej“ oraz tych wszystkich, którzy pragną regularnie otrzymywać „Polskę Walczącą“ prosimy o kierowanie konkretnych zamówień pod adresem: „Fighting Poland“ Trust, Business Offices, 69, Earls Court Square, London, S.W.5.

KURS KORESPONDENCYJNY Z ZAKRESU PROGRAMU SZKOŁY POWSZECHNEJ

Kierownictwo Kursu Korespondencyjnego Szkoły Powszechnej, podległe Działowi Oświaty Interim Treasury Committee for Polish Questions, przeniesione z dniem 15 sierpnia b.r. z Falkirk do Glasgowa, zawiadamia, że od 1 września 1946 rozpoczyna nowy rok szkolny i przyjmuje nowe zgłoszenia do klasy II, III, IV, V i VI.

Po wszelkie informacje należy zwracać się pod adresem: Ośrodek Nauczania Korespondencyjnego, Kurs Szkoły Powszechnej, 276, St. Vincent, Glasgow, C.2. Tel.: Central 3784.

WYDAJE „FIGHTING POLAND“ TRUST

Adres Redakcji (Editorial Offices): 52 Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.

Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii miesięcznie 1sh. 6d., kwartalnie 4 sh. 6d., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.

Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST“ pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 ($5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne 6d. za słowo

Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.

Adres Administracji (Business Offices): 69, Earl's Court Square, London, S.W.5. Tel.: FLAxman 8600